

**Sprzedaż pseudoleków
w internecie, kłamliwa
reklama wyrobów medycznych,
rozpowszechnianie
nieprawdziwych informacji
o sposobach zapobiegania
infekcji... Kto zarabia
na strachu
i co na to państwo?**

str. 2



Pandemia przestępstw

Koronawirus spadł przestępcom z nieba

Zbigniew Fijałek:
Zawszad atakują nas reklamy produktów, które mają podnosić odporność organizmu, czyli w domyśle przeciwdziałać zakażeniu koronawirusem. Za sugerowanie właściwości, których produkt nie posiada, powinno się nakładać bardzo duże kary finansowe

Interpol, Europol, Europejska Agencja Leków i amerykańska Federalna Agencja Leków biją na alarm, że pojawił się gigantyczny problem z napływem sfałszowanych leków i suplementów diety oraz wyrobów medycznych rzekomo mających chronić przed koronawirusem. To prawda. W marcu, w ramach olbrzymiej operacji „Pangea”, Interpol przechwyił 37 tys. podrobionych wyrobów medycznych. Głównie maseczki ochronne dla dzieci (niektóre z wizerunkami postaci z Disneya) i dorosłych ze sfałszowanymi certyfikatami, rzekomo wykrywające koronawirusa testy oraz środki dezynfekujące. Dokonano 121 aresztowań, rozbito 37 grup przestępczych, przechwycono 4,4 mln sztuk potencjalnie szkodliwych leków o wartości 13 mln euro. W ostatnich dniach również Europejski Urząd ds. Zwalczenia Nadużyć Finansowych (OLAF) poinformował, że prowadzi sprawy związane z importem do Europy sfałszowanych produktów używanych w walce z zakażeniami COVID-19. Nie można ignorować takich sygnałów.

Interpol zamknął też 2,5 tys. stron internetowych z produktami mającymi chronić przed COVID-19. Internet to obecnie najbardziej dochodowy kanał dystrybucji. Ludzie, którzy nie mogą zdobyć leków lub wyrobów medycznych, których potrzebują, uważają, że tam je znajdą. I znajdują, niestety często sfałszowane. Dziś przestępcy mają w internecie prawdziwe eldorado. Koronawirus spadł im z nieba. Mnóstwo ludzi jest wystraszonych i zdezorientowanych, więc baza klientów stała się tak obszerna jak nigdy wcześniej. Ludzie nie wiedzą, czy się badać, leczyć, wzmacniać organizm, nosić maseczkę ochronną. Sensowny, oparty na wiedzy przekaz nie zawsze trafia do potrzebujących.

Kłamstwa i półprawdy szybciej rozchodzą się publicznie, choćby właśnie w internecie. W efekcie mamy znakomity czas dla przestępców. Czujność usypia fakt, że strony internetowe, na których reklamuje się sfałszowane produkty, prezentują się zazwyczaj bardzo profesjonalnie. Opakowania medykamentów wyglądają jak z apteki, a opisy zawierają dużo mądrych słów. W praktyce najczęściej na dokonaniu płatności się kończy. Produkty nigdy nie trafiają do klienta. Czasem zaś trafiają i moim zdaniem to jeszcze gorszy scenariusz, bo ludzie wierzą w skuteczność tego, co zażywają i co noszą (np. masek).

Co ciekawe, amerykańskie FDA na bieżąco aktualizuje listę podmiotów, które w przestępczy sposób produkują i reklamują jakies dziwne specyfiki bądź wykorzystują prawdziwe produkty lecznicze, przypisując im fałszywie skuteczność w leczeniu koronawirusa.

A to lider w produkcji suplementów Aflofarm wypuszcza na cały kraj reklamę Neosine Forte, w której sugeruje skuteczność specyfiki w leczeniu koronawirusa. Podczas gdy z naukowego punktu widzenia nie może o tym być mowy.

Nie chcę tu oceniać postępowania Aflofarmu, ale sytuacja, w której duży przedsiębiorca żeruje na ludzkim strachu, świadczy o nim jak najgorzej. Warto zdawać sobie sprawę z istnienia tzw. przestępczości korporacyjnej. W USA powstaje wiele publikacji na temat tego, jak działają firmy farmaceutyczne. Dla nich chlebem powszednim są różnego rodzaju nieetyczne działania, np. fałszywe przypisywanie produktom niepotwierdzonych właściwości.

Główny inspektor farmaceutyczny w decyzji dotyczącej Aflofarmu wskazuje, że producent wyjątkowo nieetycznie wykorzystuje lęk przed koronawirusem. Nadaje decyzji rygor natychmiastowej wykonalności. Dzień później reklama nadal była emitowana, bo decyzja nie została jeszcze doręczona spółce. Państwo polskie nie umie skutecznie zdyscyplinować największych podmiotów na rynku farmaceutycznym?

Państwo teoretycznie ma wszelkie narzędzia, by przeciwdziałać nieetycznej i nieprawdziwej reklamie. Może bez trudu zabronić jej emisji w telewizji, radiu czy internecie, ale praktyka pokazuje, że nasza administracja publiczna nie jest w stanie natychmiast likwidować przejawów nieetycznego działania firm farmaceutycznych. Cóż, nawet amerykańskie FDA często nie radzi sobie z Big Pharma. Przedstawiciele agencji każdorazowo przez wiele miesięcy użerają się z biurokracją tylko po to, aby ruszyła wielka machina sądowna. Potem sprawy sądowe trwają latami i wymagają od urzędników zmierzania się z najznamienitszymi prawnikami w kraju, bo właśnie takich zatrudnia Big Pharma. W Stanach Zjednoczonych sprawy najczęściej kończą się ugodami, żeby uciąć te wieloletnie spory sądowe. W Europie preferuje się nakładanie kar. I dobrze. Tylko ich wysokość jest często zupełnie nieadekwatna. Z rachunku zysków i strat wynika, że zyski wynikające z niedopuszczalnej reklamy są większe niż koszty uiszczenia kary.

Agencji rządowych i organów nadzorczych jest mnóstwo. Jak jest z ich skutecznością?



prof. Zbigniew Fijałek – kierownik Zakładu Farmacji Kryminalistycznej, szef Zespołu ds. Sfałszowanych Leków Wydziału Farmaceutycznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, w latach 2005–2015 dyrektor Narodowego Instytutu Leków

Jest ona niewielka, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, jak wiele ich jest, ilu ludzi zatrudniają i jak dużo kosztuje ich utrzymanie. Weźmy nawet pod uwagę wspomnianą operację „Pangea”. Polegała ona w dużej mierze na sprawdzaniu drobnych przesyłek pocztowych. Akcja trwała zaledwie tydzień i wymagała postawienia w pełnej gotowości wielu funkcjonariuszy. Ogłoszono wielki sukces. I to bardzo cieszy, ale jednocześnie zastanawia, jak wiele umyka funkcjonariuszom na co dzień, skoro w tydzień wyłapano tak dużo. Wydaje mi się oczywiste, że przed akcją i po niej jest równie dużo sprzedawanych produktów podrobionych lub w najlepszym razie niespełniających norm jakościowych.

Czy problem fałszywych terapii i podrobionych wyrobów medycznych dotyczy także Polski?

Jak najbardziej! Widziałem u nas mnóstwo reklam np. roztworów ze srebra koloidalnego jako magicznego remedium na koronawirusa. I oczywiście wykazuje ono właściwości bakteriostatyczne, jednak nie ma żadnych dowodów na skuteczne działanie wirusobójcze. A ludzie nie odróżniają jednego od drugiego. Zawszad atakują nas reklamy całej gamy ziołowych produktów czy suplementów diety, które mają podnosić odporność organizmu – czyli w domyśle przeciwdziałać zakażeniu koronawirusem. Za takie działania, polegające na sugerowaniu właściwości, których produkt nie posiada, powinno się nakładać bardzo duże kary finansowe. Nie mam bowiem żadnych wątpliwości, że to działania czynione z premedytacją. Nie ma tu żadnego przypadku, żaden szeregowy pracownik concernu farmaceutycznego nie chlapanął czegoś bezmyślnie. To strategia marketingowa zakładająca, że wprowadzająca w błąd reklama będzie hulać w mediach, aż ktoś jej skutecznie nie zakaze. W tym czasie tysiące pacjentów ma kupić lek czy suplement diety, którego w innym wypadku by nie kupiło.

Więc co zrobić, aby ludzie nie nabierali się na oszustwa w czasie kryzysu?

To zawsze brzmi banalnie, ale edukować. Światowa organizacja Fight The Fakes, do której przystąpiły kilka dni temu Warszawski Uniwersytet Medyczny i Stowarzyszenie „Stop Nielegalnym Farmaceutykom”, ma na celu przede wszystkim edukowanie pacjentów w zakresie fałszywych terapii i produktów leczniczych. Priorytetem organizacji jest edukacja krajów afrykańskich. Ale szczerze? Nam, Europejczykom, jest to nie mniej potrzebne. Ludzie nie wiedzą, czym grozi kupno leku czy wyrobu medycznego w internecie. Nie zadają sobie trudu, aby sprawdzić opinie o danej stronie, przyswoić informację o tym, że agencje rządowe i policja zamykają wiele witryn i biznesów w związku z ich żerowaniem na pandemii. Nawet popularne serwisy sprzedażowe banują wiele ofert naciągaczy. Ale to wszystko to ciągle za mało. Bo oszuści i tak są w stanie różnymi kanałami dotrzeć do pacjentów.

Nie da się ukryć, że oprócz pandemii COVID-19 borykamy się z pandemią fake newsów. WHO uważa, że z nimi trzeba walczyć nie mniej zaciekle niż z samą chorobą. Najgorsze jest to, że niektórzy ludzie wierzą, że picie wody czy wynik wątpliwego testu stoją ponad sprawdzonymi metodami zapobiegawczymi, tj. dbaniem o odpowiednią higienę. Chwytaj się wszystkiego jak tonący brzytwy, szukają też łatwych rozwiązań. Dlatego jak ktoś chce wypłukiwać koronawirusa wodą – śmiało, picie wody mu nie zaszkodzi. Ale niech jednocześnie przestrzega wszystkich innych reguł postępowania.

W panice ludzie są niestety głusi na argumenty.

Zdaję sobie sprawę, że to jest bardzo trudna walka. Ale jeżeli edukacja miałaby pomóc chociaż jednej osobie, to już ma sens. Ludzie uczą się niechętnie, bo wolą żyć w komfortowej bańce informacyjnej. Już dziś wiele osób myśli, że jak posiedzimy w domu, to pozbedziemy się koronawirusa raz na zawsze. Tymczasem pytaniem jest nie czy, lecz kiedy na niego zachorujemy. Ten wirus już z nami zostanie jak sezonowa grypa. Którą – co ważne – wciąż lekceważymy. W ciągu ostatniego sezonu grypy zachorowało 3,5 mln Polaków, zmarło 40 osób i nikt się tym nie przejął. Wyszczepialność na grype w Polsce to 3,5 proc., kiedy w bogatszych krajach Europy – nawet 70 proc. Dziś mamy coraz więcej doniesień o tym, że szczepienie na grype może podnosić odporność, dzięki czemu przebieg zakażenia koronawirusem będzie znacznie łagodniejszy. Rektor WUM zakupił nawet 2 tys. szczepionek dla pracowników uniwersytetu oraz chętnych studentów. To psychoza, że boimy się koronawirusa, wyczekujemy na szczepionkę, a jednocześnie ignorujemy grype, która również może prowadzić do poważnych powikłań i z którą ludzkość boryka się od tak dawna. Obawiam się, że gdy skończy się epidemia koronawirusa i będzie na niego szczepionka, wiele osób stwierdzi, że nie warto się szczepić – będzie im szkoda czasu, pieniędzy, zaczną obawiać się powikłań. Tymczasem ludzie powinni wiedzieć, że choć za rok czy pięć lat COVID-19 nie będzie zbierał powszechnego śmiertelnego żniwa, to nadal ludzie będą na niego chorować.

Prawnokarny chaos epidemiczny

W systemie prawnym nie mogą istnieć dwie równoległe ścieżki reakcji na te same zachowania sprzeczne z prawem



PIOTR MGŁOSIEK

sędzia Sądu Rejonowego dla Wrocławia-Krzyków we Wrocławiu

Już kilka tygodni trwa walka z szalejącym wirusem SARS-CoV-2. Wobec braku skutecznej szczepionki bądź lekarstwa, zdecydowano się na próbę ograniczenia zachorowalności poprzez wprowadzenie licznych restrykcji związanych z poruszaniem się w szeroko pojętej przestrzeni publicznej. Kolejne rozporządzenia Rady Ministrów i ministra zdrowia szczegółowo określają nie tylko przypadki, w których można opuścić dom, lecz również sposób poruszania się w takich sytuacjach. Nie zdobędę się na próbę oceny skuteczności podjętych działań, ponieważ nie leży to w zakresie mojej wiedzy zawodowej.

Nietrudno jednak zauważyć, że kilka dni obowiązywania najnowszego w tej materii rozporządzenia Rady Ministrów z 31 marca 2020 r. w sprawie ustanowienia określonych ograniczeń, nakazów i zakazów w związku z występowaniem stanu epidemii (Dz.U. z 2020 r. poz. 566) – rozszerzającego istniejące już ograniczenia – ukazało przewidywaną skalę chaosu związanego z egzekwowaniem nakazów i zakazów w nim sformułowanych.

Ukarani, ale za co?

Najlepiej ilustruje to zdarzenie, do którego doszło 4 kwietnia – a więc już po wejściu w życie rozporządzenia – w Olsztynie. Otóż mieszany patrol Policji i Żandarmerii Wojskowej dokonał blokady myjni bezdotykowej, a funkcjonariusze wręczali wybiórczo kierowcom, którzy z niej korzystali, mandaty opiewające na 500 zł. W stosunku do pozostałych kierowców oczekujących w kolejce do zajętych stanowisk zastosowano pouczenia. Podstawą prawną do ukarania kierowców myjących swe auta miał być art. 54 kodeksu wykroczeń. Zgodnie z tym przepisem, kto wykracza przeciwko wydanym z upoważnienia ustawy przepisom porządkowym o zachowaniu się w miejscach publicznych, podlega karze grzywny do 500 zł albo karze nagany. Pytanie brzmi, za co w istocie zostali ukarani kierowcy?

Samo mycie auta nie jest złamaniem zakazów wskazanych w rozporządzeniu ministra zdrowia z 20 marca 2020 r. (Dz.U. z 2020 r. poz. 491) i zmieniającego je rozporządzenia z 24 marca (Dz.U. z 2020 r. poz. 522) czy też we wspomnianym rozporządzeniu Rady Ministrów z 31 marca 2020 r. Te akty prawne dotyczą w istocie warunków związanych z wyjściem z domu oraz sposobem przemieszczania się (odpowiednio par. 3a pkt 1 oraz 18). Czym innym są bowiem reguły blokujące dostęp do miejsc publicznych, a czym innym sankcjonowane sposoby zachowania, gdy już się w nich znaleźliśmy.

Artykuł 54 k.w. dotyczy właśnie tej drugiej sytuacji. Jak już wskazałem, żaden przepis nie zakazuje mycia auta w myjni bezdotykowej, natomiast par. 3a pkt 1 ust. 2 rozporządzenia

ministra zdrowia z 24 marca 2020 r. wprowadza m.in. możliwość opuszczenia domu w celu zaspokojenia niezbędnych potrzeb związanych z bieżącymi sprawami życia codziennego. Raczej nie podlega dyskusji, że umycia samochodu w warunkach stanu epidemii nie sposób zaliczyć do katalogu niezbędnych potrzeb życia codziennego. I jeśli o to chodziło stróżom prawa w omawianym przypadku, to z całą pewnością nie powinni byli sięgać po art. 54 k.w., który swą treścią blankietową sankcjonuje jedynie niewłaściwe zachowanie się w miejscu publicznym, a nie samo znalezienie się w nim wbrew obowiązującym przepisom.

Artykuł 54 k.w. mógłby znaleźć w opisywanym przypadku zastosowanie jedynie wówczas, gdyby kierowcy myjni nie zachowali odległości 2 m od siebie (par. 18 ust. 1 rozporządzenia Rady Ministrów z 31 marca 2020 r.). Trudno jednak założyć, że kierowcy zgromadzeni w myjni wspólnymi siłami myli swoje samochody. Zatem podstawą do ukarania myjących auta nie było złamanie nakazu zachowania dwumetrowej odległości od siebie, tylko niezastosowanie się do zakazu opuszczania domu z wyjątkiem sytuacji pilnej potrzeby związanej z zaspokojeniem bieżących spraw życia codziennego. A jeśli tak, to zastanawia niekonsekwencja. Myjący samochody zostali ukarani mandatami, a oczekujący nieopodal usłyszeli jedynie pouczenia, choć nikt z nich nie zastosował się do ograniczenia z par. 3a pkt 1 ust. 2 rozporządzenia ministra zdrowia z 24 marca 2020 r., lekkomyślnie opuszczając swe domy, by umyć samochody.

A mogło być ostrzej...

Opisywana sytuacja uzmysławia o wiele bardziej złożony problem. Po kilku tygodniach nieustannych zmian w prawie mamy bowiem do czynienia z dualizmem przepisów regulujących te same stany faktyczne. W Olsztynie policja rozstrzygnęła sprawę w reżimie kodeksu wykroczeń. Natomiast analiza wprowadzonych w ostatnich dniach przepisów wskazuje, że nie jest to jedyny akt prawny, który nakłada na właściwy organ państwa

obowiązek odpowiedniej reakcji w sytuacji takiej jak opisywana.

Oto bowiem państwowy powiatowy inspektor sanitarny lub państwowy graniczny inspektor sanitarny – wyposażeni w nowe kompetencje nadane im w rozdziale 8a „kary pieniężne” ustawy z 31 marca 2020 r. o zmianie niektórych ustaw w zakresie systemu ochrony zdrowia związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19 (Dz.U. z 2020 r. poz. 567) – mogliby w formie decyzji administracyjnej wymierzyć (związanej z naruszeniem ograniczeń w przemieszczaniu się) kary pieniężne w drakońskim wymiarze od 5 tys. do 30 tys. zł. Co więcej, kara ta byłaby natychmiast wykonalna bez względu na złożenie odwołania od decyzji inspektora sanitarnego do sądu administracyjnego.

Pozostawiając na uboczu dyskusję o niewłaściwym nadaniu przez ustawodawcę formy decyzji administracyjnej karze o charakterze represyjnym, charakterystycznym dla obszaru prawa karnego, z całą pewnością jako niedopuszczalne należy ocenić istnienie w systemie prawnym dwóch równoległych ścieżek reakcji na te same zachowania sprzeczne z prawem. Można sobie bowiem wyobrazić wybiórcze postępowanie patrolu policji, który arbitralnie zdecyduje o ukaraniu osoby łamiącej zakazy w poruszaniu się w warunkach stanu epidemii na miejscu – „zwykłym” mandatem za wykroczenie (do 500 zł) – bądź podejmie decyzję o przekazaniu dokumentacji ze zdarzenia właściwemu inspektorowi sanitarnemu, który wymierzy daleko dotkliwszą karę pieniężną w formie decyzji administracyjnej (5 tys. – 30 tys. zł).

Jest zrozumiałe, że sytuacje wyjątkowe wymagają niestandardowych działań, których działanie sprawdzają się dopiero w boju. Należy jednak zawsze pamiętać, że system prawa to instalacja naczyń połączonych, a kreujący jego strukturę twórcy powinni mieć na uwadze rządzące nim podstawowe zasady. Jedną z nich jest równość wobec prawa, czyli takie samo traktowanie obywateli w zbliżonej sytuacji faktycznej. ©

PROSTO ZE STRASBURGA

Przesadny formalizm narusza prawo do sądu



Dominika Bychawska-Siniarska
członek zarządu
Helsińskiej
Fundacji Praw
Człowieka

Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał w wyroku z 31 marca 2020 r. w sprawie Dos Santos Calado i inni p. Portugalii (skargi nr 55997/14 oraz 68143/16), że zbyt sformalizowane podejście do warunków wnoszenia skarg do TK stanowi naruszenie prawa dostępu do sądu.

Pierwsza skarżąca zakwestionowała przed portugalskim TK konstytucyjność przepisu prawnego dotyczącego renty. Wnioskodawczyni powołała się na podstawę prawną, zgodnie z którą TK jest właściwy do składania odwołań. Skarga została odrzucona przez portugalski trybunał, który stwierdził, że we wniosku podstawa prawna została wskazana błędnie. Obowiązek powołania podstawy prawnej ma na celu zabezpieczenie sprawnego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. ETPC w wyroku zauważył jednak, że pomimo błędu w jej wskazaniu z samej treści ja-

sno wynikało, na czym skarżąca oparła swoje twierdzenia. Decyzja o odrzuceniu skargi oparta była na omyłce pisarskiej wnioskodawczyni. Tak dalece sformalizowane podejście uniemożliwiło jej złożenie skargi, a tym samym pozbawiło ją prawa do sądu i naruszyło art. 6 par. 1 konwencji. Jak zauważył na marginesie strasburski trybunał, portugalski TK mógł zwrócić się do skarżącej o sprostowanie błędu w sposób przewidziany przez regulamin.

W kolejnej sprawie rozpoznanej w wyroku ETPC chodziło o to, że portugalski TK odrzucił skargę, ponieważ wnoszący ją nie podnosił argumentu niekonstytucyjności przepisów we wcześniejszym postępowaniu przed Naczelny Sąd Administracyjny.

Skarżący byli urzędnikami Generalnej Dyrekcji Drogowej i pełnili swoje obowiązki w regionach autonomicznych. Zakwestionowali w Minister-

stwie Finansów, któremu podlegali, zakres obowiązków i pensje, wskazując na nierówność w ich traktowaniu w stosunku do kolegów z kontynentalnej części Portugalii. W szczególności podnosili, że nie ma regulacji prawnych, które by wyznaczały ścieżkę ich kariery urzędniczej. W konsekwencji pełnili różne obowiązki, w tym inspektorów, które nie zostały uwzględnione w wynagrodzeniu. Portugalski TK uznał, że skarżący nie dopełnili warunków skargi, ponieważ nie podnosili kwestii niekonstytucyjności przepisów i braku regulacji. ETPC uznał, że taki warunek dopuszczalności skargi konstytucyjnej jest uzasadniony, bo Trybunał Konstytucyjny pełni funkcję sądu ostatniej instancji, jednak zauważył, że skarżący podnosili brak konstytucyjności dotyczących ich regulacji w wcześniejszych etapach postępowania, w tym w skardze na decyzję ministra.

NSA nie odpowiedział na pytanie o nierówne traktowanie, poddał raczej analizie stanowiska i obowiązki, jakie pełnili skarżący, uznając, że istnieją różnice co do samej pełnionej funkcji między inspektorami w kontynentalnej części Portugalii i w regionach autonomicznych Madery i Azorów. TK uznał również, że skarżący powinni byli liczyć się z decyzją NSA, ponieważ podobne kwestie były wcześniej rozpatrywane przez sądy portugalskie. ETPC nie zgodził się z tym rozumowaniem i wskazał, że sąd I instancji orzekł na korzyść skarżących, co mogło prowadzić do uznania, że mają oni szansę na wygraną w dalszym postępowaniu, niezależnie od wcześniejszego orzecznictwa. W konsekwencji ETPC uznał, że TK wykazał nadmierny formalizm oraz że doszło do naruszenia art. 6 par. 1 konwencji. ©

Więcej omówień wyroków ETPC na stronie

www.wyrokietpc.pl

Wykład w czasie zarazy

Epidemia pokazała nam poziom nieprzygotowania do nadzwyczajnych sytuacji, również od strony technicznej. Nie wystarczy krzyknąć „uczmy się zdalnie”



PROF. DR HAB.
ANDRZEJ KIDYBA

Katedra Prawa Gospodarczego
i Handlowego na UMCS w Lublinie

Czasy nastąpiły nieprawdopodobne. Tak ciężkie, że kilkadziesiąt dni temu trudno było sobie je wyobrazić. Tak jak trudno sobie wyobrazić, co będzie po. Niewątpliwie nic już nie będzie takie samo, może poza faktem, że o czasach zarazy młodzież, dzieci, które ją obserwują, a właściwie w niej uczestniczą, będą opowiadać swoim dzieciom, a te będą się uczyć o tym na lekcjach historii. Nie jestem w stanie opisać tego wszystkiego, co się dzieje, co stać się może, jakie konsekwencje społeczne, polityczne, a przede wszystkim gospodarcze przyniesie.

Chciałbym skoncentrować się na jednym tylko elemencie, ważnej „części” każdego z pracowników naukowych, a może szerzej, ważnej dla tych wszystkich, którzy stoją po drugiej stronie katedry, a którą być może bezpowrotnie tracą. Nie tylko w szkołach, ale również uczelniach nastąpiła przerwa służąca odizolowaniu w czasach zarazy. To mądre lekarstwo w sytuacji, gdy na koronawirusa obecnie medykamentu nie ma. Ale przy stosowaniu tego lekarstwa znowu jest to dla mnie zrozumiałe, za często stosować różne metody leczenia. Polegają one na studiowaniu zamienionym na e-learning, uczenie zdalne itp. Pewnie gdyby tego nie było, studenci mogliby pomyśleć, że to są ferie i zaczęli odpoczywać (to oczywiście sarkazm). Tymczasem studenci to ludzie dorośli, którzy powinni odróżniać, selekcjonować, planować. Studiować to przecież nie tylko uczyć się. W czasie, gdy internet jest czymś powszechnym, właśnie

studiowanie nie ma granic. Uważam jedynie, że e-learning i inne metody zdalnego uczenia powinny być ofertą, a nie obowiązkiem, nie tylko dla nich, ale również dla pracowników naukowych.

W ramach zdalnych kampusów proponuje się prowadzenie zajęć i wykładów online przez połączenia audio lub video, e-mailem, na różnych platformach. Mogą się one odbywać w czasie rzeczywistym, a mogą być nagrane i potem odtwarzane. W czasie rzeczywistym można robić kolokwia, a może i egzaminy. Mam jednak nadzieję, że te wszystkie odbędą się w normalnym trybie, już po epidemii, bo w jej trakcie jest ryzyko, że będą przebiegać jak zorganizowane forum pomocy, o którym już wspominałem (DGP 233/2019).

E-learning to gadające głowy, gdzie od strony technicznej potrzebne są ekrany, kamery, słuchawki, mikrofony, szybkie łącze, często nie jedno. Tak naprawdę, aby to wszystko profesjonalnie poprowadzić, potrzebne jest małe studio. Niezależnie od tego przecież wykładowcy i studenci mają dzieci, rodzeństwo, a oni też muszą uczyć się zdalnie. To już problem, jak u np. dwóch rozstrzygnąć nie tylko kwestię komputera, ale też słuchawek, mikrofonów, ekranów itp. Małżonkowie, w tym wykładowcy, którzy nie mogą chodzić do pracy, również mają pracować zdalnie. No i pytanie, skąd wziąć takie ilości aparatury, pomieszczeń i czasu dostępnego dla wszystkich. Nie wszyscy takie wyposażenie też mają. A przecież państwo, uczelnie czy szkoły nie wyposażały nas w odpowiedni sprzęt, nie skonfigurowały go itp. No cóż, pewnie nie ma wyjścia, jakoś trzeba. Choć niestety zaraza pokazała nam poziom nieprzygotowania do nadzwyczajnych sytuacji, również od strony technicznej. Nie wystarczy krzyknąć „uczmy się zdalnie”, trzeba być do tego wcześniej gotowym. Bo życie w spokojnych czasach polega na przygotowaniu na czasy ciężkie.

A pamiętam jeszcze jak potrakowano moją propozycję sprzed prawie 20 lat, aby na moim wydziale prowadziły zdalne studia podyplomowe. Dziś, w czasie zarazy, choć niektórzy wcześniej eksperymentowali, dopiero teraz „uczają się” e-learningu.

Ten tekst powstał jednak ze zrodzonej już, wczesnej tęsknoty do tego, co tak niedawno jeszcze było oczywiste. Zaczniemy tęsknić za tradycyjnym, nie wirtualnym wykładem. Takim twarzą w twarz, którego na co dzień się nie doceniało. Mnie też brak wykładu, ale nie na Skypie ze zniekształconą, spłaszczoną, pochyloną do przodu głową, z opóźnionym obrazem w stosunku do dźwięku czy z zawieszającym się internetem. Nie sprzyja to koncentracji. I to tło wystąpienie: swetry, bonżurki, dziwne meble w tle, chaos na półkach. Przynajmniej scenografii wykładów online psuje często cały spektakl.

Nie chodzi przecież tylko o wypowiedziane słowa, które możemy usłyszeć oglądając twarz i otoczenie. Chodzi o coś więcej. O przyjemność, bo ta online jest dużo mniejsza niż gdy kontakt jest rzeczywisty. O wykład, który jest spektaklem dobrze wyreżyserowanym, z całym anturazem, kontaktem z widownią, tym wzrokowym, intelektualnym, a nawet zapachowym.

Aby można było zobaczyć katedrę, jej relingi, tablice, rzutnik, biurka czy

ławki. Takie prawdziwe w tym roku widziałem na Uniwersytecie w Salamance – uciekając przed zarazą – w historycznej auli wykładowej prawa kanonicznego, które miały postać zwykłych zydl, uszeregowanych na długiej przestrzeni.

Jasne, że w czasie takich wykładów również mogą zawieść łącza, ale to jest po prostu „czarna dziura” w głowie profesora. Wykład to sztuka, którą jedni tworzą lepiej, inni gorzej. Ale to zawsze powinna być sztuka. W spektaklu tym może być to rola grana przez jednego aktora (profesora), czasem dwóch, gdy jest pomysł na spór na oczach widowni. Może to być też spektakl, w którym aktywnie biorą udział słuchacze – studenci. Rodzaj sztuki nie jest najistotniejszy. Czasem, gdy wszystkie „bilety są wykupione” brak miejsca nawet na schodach. Bywa też tak, że tylko kilka par oczu jest wpatrzonych w aktora



Jasne, że w czasie tradycyjnych wykładów również mogą zawieść łącza, ale to jest po prostu „czarna dziura” w głowie profesora

– profesora. Ale bez tych oczu spektakl nie może się odbyć. Sam w sobie nie może być Wielką Improwizacją, grana niejako do siebie. Istnieje potrzeba znalezienia tej jednej choćby pary oczu, w których można wyczytać odbiór tego, co mówimy.

Wykład – spektakl może być oceniany z dwóch stron. Dla wykładowcy – profesora to również morze obserwacji, konieczność dostosowania tempa grania do słuchaczy, zastosowanie różnych technik, form wyrazu gestem, słowami, wzrokiem (gromiąc mlaskającego studenta w czasie spóźnionego śniadania). Czasem to granie ciszą, gdy gwar uniemożliwia dobry przekaz. To wszystko ma znaczenie: co mówimy, ale również jak mówimy, jak poruszamy się po scenie, chodzimy, a może tylko siedzimy i czytamy. W tym ostatnim przypadku, nawet jeżeli to jest własna książka, to odradzam.

Wykład to również charakterystyka, strój, jakim raczymy słuchaczy, od zaślubionych buciorów, po wyczyszczone buty, od dziurawego swetra po schludny, porządny garnitur. Na wykładzie jest jednak trochę inaczej niż w teatrze, bo tam ta sama rola mimo wszystko jest powtarzana, a każdy wykład powinien różnić się od poprzedniego przynajmniej treścią. Ważne jest, aby aktor – wykładowca zdążył zadbać o dłonie, uczesać włosy, bo przecież nasza gra to jednak nie rola Boryny w „Chłopach”.

Ale przecież w tym wykładzie – spektaklu jest widownia, która patrzy, słucha, ocenia. Czasem bije brawo. Na klasycznych wykładach na uniwersytecie o brawa jest trudniej, bo wykład – choćby najlepszy – się należy, i tyle. Ale już gdy wykład jest dla wymagających i nie jest takie oczywiste, że się powtórzy, brawa są naprawdę dla głównego aktora. Słuchacze – studenci mają utrudnione patrzeć, bo jednocześnie często

notują. Ale są też i inne grupy: ci, którzy nie notują, ale nagrywają; ci którzy patrzą i tylko patrzą; ci którzy patrzą, a wyraz ich oczu sprawia, że wiemy, że nic nie widzą i nie rozumieją.

Wykład to często kontakt z mistrzem. Zdarza się, że jeszcze niedocenianym, ale stanie się to dopiero po latach, gdy z czasów studiów pozostają jedynie wspomnienia i zachowane notatki. Często to możliwość kontaktu z autorytetem, których potrzeba dzisiaj, jak kani dżdżu. Sam wspominał, gdy na I roku moich studiów do Lublina z Warszawy, na wykład, przyjechał prof. L. Bardach (Historia Państwa i Prawa), z którego książek się uczyłem. I do dziś pamiętam ten wykład, spotkanie w hotelu, do którego poszedłem, by Go spotkać, dedykację w książce, którą też mam do dzisiaj. Potem byli „swoi” – lubelscy profesorowie, których mistrzostwo gry oceniałem i doceniałem później. Nie chcę wymieniać tu kogokolwiek, by nikogo nie urazić (choć nie jest to najlepsze sformułowanie, gdyż w większości Mistrzowie już nie żyją). Ale często chłonałem „spijałem” z ust niektórych to, co było dla mnie tak niedostępne i trudne – wiedzę.

Zmienia się rola aktorów – profesorów, tak jak zmienia się widownia. Nie chcę powiedzieć, że widowni już prawie nie ma. Zostali koneserzy, nie tylko przymuszani do uczestniczenia w systemie edukacji. Ta widownia ze wszystkim co niesie tak dla aktora, jak i wykładowcy, powinna być najważniejsza i budzić szacunek. To dla niej warto wyczyścić buty, zadbać o odpowiedni strój, wyrażający szacunek dla słuchaczy. Bo widownia nas ocenia i tworzy. Tworzy nas w swej pamięci. Czasem, a mnie się to zdarzyło, stajemy się inspiracją dla postaci większych. Miałem to szczęście, że na mojej widowni byli nie tylko przyszli prawnicy, ale jednocześnie przyszli muzycy, lekarze czy pisarze. W tym ostatnim przypadku jako aktor – wykładowca byłem obiektem kilkuletnich obserwacji po to, aby stać się pierwowzorem postaci literackiej. Wszystko okazało się ważne: głos, dłonie, oczy, ruch, gesty ale i słownictwo, składnia i w ogóle retoryka. Nie byłoby nigdy postaci Armandy – Archanioła w trylogii „Czarna legenda”, tytułu zrodzonego z opinii uniwersyteckiej o mnie autorstwa Anny Karbownik, najpierw studentki prawa, potem adwokata, gdyby nie wykład. Nie chciałbym tym zanudzać, bo „rzecz” jest o wykładzie, ale dla zainteresowanych podaję stosowną stronę internetową (www.wydawnictwoenterprise.pl), a w książkach i w post scriptum do nich można przenieść się na historyczne sale z wzorowanymi na współczesnych postaciami i zobaczyć, jak wykład – spektakl z prawa handlowego przechodzi do historii literatury. I przeczytać prorocze wątki o zarazie, z którą walczy Armand. O pierwszych krokach do stworzenia szczepionki, o wariolizacji. Jakże aktualne stało się dziś to wszystko, co opisała A. Karbownik, a co „wydarzyło się” 500 lat temu. Polecam.

Wykład, którego może nam zabraknąć, zabija epidemia. Jak już wrócimy do auli wykładowych czy innych miejsc, słuchając wykładu, pamiętajmy o tym, że być może coś na naszych oczach umierało. Byłoby to pogrzebem uniwersytetu, który karmił się przez tysiąclecia swoistym sacrum. ©

PRENUMERATA:

Cena prenumeraty DZIENNIKA GAZETY PRAWNEJ: Wersja Standard – miesięczna (kwiecień 2020 r.): 145,95 zł; kwiecień – grudzień 2020 r.: 1276,80 zł; Wersja Premium – miesięczna (kwiecień 2020 r.): 165,90 zł; kwiecień – grudzień 2020 r.: 1497,60 zł; wszystkie ceny brutto (zawierają 8% VAT). Więcej informacji na stronie www.gazetaprawna.pl/prenumerata